



Nr. 8. *Z dnia 15-go sierpnia 1903 r.*

Gdzie gencjany kwitną?

Ci — najmniejsi...

Ogromna sala — widna i jasna od ścian koloru złota i od promieni słonecznych.

Pośrodku sali wielka statua Matki Bożej w błękitnej szacie i koronie z gwiazd.

U jej stóp — na gradusach cały rój, całe mrowisko malutkich głów płowych, twarzyczek okrągłych i rzędy oczów siwych, turkusowych piwnych, czarnych.

Jak małe ptaszki na grządki wsadzone troskliwą ręką — siedzą „ci najmniejsi“ — kręcą główkami, rączkami — otwierają drobne usta. Bose nóżki tupią w takt — głosiki cieniuchne przędą piosenki. Jedna z dziewczynek śliczna, kształtna w czyściutkiej sukience — ze złotymi warkoczykami na plecach stoi pośrodku sali zwócona ku gradusom i znaczy poruszenia z wprawą z werwą kapelmistrza.

Setki rączek podnoszą się równocześnie w górę. Dzieci śpiewają o kwiatach, które wykwitają wysoko — na stokach gór. I rączki ich podniesione snagle zakwitają w powietrzu różowymi t[illegible]nami kwiecia. Cały łan, całe grzędy, cały parter takich kwiatów zabłysnął u stóp Maryi.

Piosenka teraz przędzie nić o ptakach, które się trzepoczą i fruwają. Rączki zatrzedotały także, kręcą się w przestrzeni jak stadka poderwanych ptasząt.

Piosenka przędzie nić o ptaszętach wracających na sen do gwiazd.

Rączki miarowo sennie opadają na fartuszki liljowe, błękitne.

Główki dzieci się przechylają, oczki nakrywają powiekami i przez chwilę serje uśpionych twarzyczek góralskich, maluchnych, pod stopy Marji się ściele.

Pomiędzy dziećmi snują się bronzowo odziane Siostry. Przełożona wraz ze swą pomocnicą — ciągle uśmiechnięte, ciche, miłe, pogodne, pochylają się ku tym „najmniejszym“ — z wielką miłością. Co chwila otwierają się drzwi i wchodzą jeszcze dzieci. Zapóźnione, bo idą z daleka, z Kuźnic, ze Starej Polany. Ledwo na dziesiątą zdążą. Ale biegną chętnie do tej Ochrony, bo wiedzą, że im tam dobrze, jasno, miło — że zamiast gnoju, głodu i wymysłów, siedzieć będą w jasnej izbie lub bawić się na czystym dziedzińcu, że posłyszą dużo pięknych rzeczy, dostaną obiad, dobre słowo — że Siostra lub Mateczka pogładzi po głowie, przygarnie, przytuli — łzy otrze.

Jasne, czyste i pogodne są te dzieci w Zakopiańskiej ochronce, która przytuliła się do prześlicznego kamiennego kościoła i ofiarnością i gorącem sercem miejscowego pasterza stanęła i do tej chwili istnieje. Jak dużo mogą zdziałać ludzie, którzy nie krzyczą, nie hałasują, nie wypluwają ze siebie całych potoków samouwielbienia — a pracują ciągle stale nad dobrem Zakopanego — może dać wiarę choćby ten domek przy kościele, okrążony dokoła wieńcem nasturcji i tulących się do kolan Sióstr — góralskich dzieci. Od lat czterech zabiegami ks. kan. Janasz powstała ochronka — ta najważniejsza, najkonieczniejsza instytucja dla

Dodatek bezpłatny do „Głosu Narodu“ z dnia 15 Sierpnia 1903 r.

ludu. Od podstaw bowiem zaczynać potrzeba. Gdy fundament fałszywy i zgniły — cóż można spodziewać się dalej. Ochronki dobrze zrozumiane i założone, uwolnią kraj od domów karnych, więzień i... szubienicy. Dziecko od chwili przyjścia do jakiego takiego samopoznania, chłonie w siebie to, co mu życie niesie. A cóż do tej chwili niosło dzieciom zakopiańskich górali życie do lat sześciu, to jest do chwili pójścia do szkoły? Chyba, to co już wspomniałam wyżej — gnój, brud, wymysły, głód, dzikość albo oswojenie „stylowych“ pajaców i fałszywe zachwyty gości bawiących się w studjowanie duszy górala“.

Dzieci te, włóczące się bandami po gościńcach, żebrzące często z zuchwalstwem obok kół powozów, zbierające centy rzucane im przez rozbawione grona jadących wycieczkowców — w lecie pół nagie, dzikie a cyniczne. rosły jak trzciny stawowe, jak dzikie grusze przydrożne. Style zakopiańskie pielęgnowano troskliwie, ale o dusze zakopiańskie nikt się nie troszczył.

I cicho, spokojnie, bez wrzawy i hałasu otwarły się podwoje jasnej, widnej sali.

Na progu stanęły w brunatne habity odziane Siostry i wyciągnęły przyjazne dłonie.

Z nieufnością spoglądali na nie górale i góralki. Ochrona... co też tam będą z dziećmi robić? I słodyczą, dobrocią wabiono śmielszych. Na progu czekały wciąż odziane w habity uśmiechnięte Siostry. Przyprowadzono wreszcie „tych najmniejszych“. Przyszli z niemi rodzice i dnie całe siadywały matki i ojcowie w kącie sali, kontrolując, czy dzieciom się nie dzieje krzywda. Powoli wyradzała się większa wiara. Dzieci przychodziły już same i biegły chętnie, często w zimie kopiąc się wśród śniegu, w ulewy moknąc do biednej koszuliny. Ale szły — bo czuły, że tam jest ich ocalenie. Szły, bo instynkt samozachowawczy kierował niemi i gnał je we drzwi ochronki. Chroniły się tam przed szpetnym Demonem głodu i nędzy cielesnej i duchowej — jak chroni się ptak podczas gradowej burzy. Przypadły do stóp Marji, która wyciągnęła ku niem ręce i teraz ufne, spokojne, jasne — kwitną tak grządkami, kląbami całymi młodych dusz, rozwijających się w cieple wielkiej Dobroci ludzi cichych i w promieniach słonecznych.

Są tam dzieci tak maluchne, że schylone nad nimi Siostry nieledwie uczą je chodzić. Te dziwne i prawdziwej litości pełne kobiety — zmywają z tych stóp, z tych rąk, z tych ciał brud, opatrują rany, odziewają czyściuchno. — „Niech będzie pochwalony“ — wita od progu chór głosików dziecięcych. I jest w tych dzieciach jasnowłosych, odzianych błękitno, urok i czar anielskich chórów, wychylających się z poza welonów Dziewic Ghirlandeyc lub Cimabnego. Jasne wejrzenie chwyta w lot wrażenia. A ochronka niesie im piękno, spokój i jakąś dobroczynną łaskę na życie przyszłe. Niema tam bezmyślnych wrzasków, krzyków. Są ładne gesta, ładne linje, ślicznie dobrane słowa, które dzieci wymawiają z nadzwyczajną starannością. Ta czystość wymowy jest wielką zasługą Sióstr — bo za ich sprawą te dzieci gdy dorosną mówić będą po polsku poprawnie i pięknie.

. . . .

Lecz — Zakopane jest bardzo rozległe, a do ochronki cisną się i ci najmniejsi z Bystrego, z Kuźnic, z Polany, het — z bardzo daleka. Tam jeszcze zobaczyć można dzieci unurzane w gnoju, dzikie, straszne — pełne najfatalniejszych wrodzonych i nabytych instynktów. Rodzice biedni, nędzni, radziby posłać dziecko do ochronki, ale daleko. Małe — przytem śniegi, deszcze, błota. I dziecko rośnie jak chwast, a nikt się o niego nie troszczy. Starzec to od kolebki żółty, zgniły, głodny. Okrucieństwo, zbójnicki charakter, aż drga pod tą nędzną powłoką. Ciupaga staje się często bratobójczą bronią. Kainów tu więcej niż Ablów, a można powiedzieć, że każden góral ma w sobie śpiącego Kaina.

I temu chcą zaradzić ludzie troszczący się istotnie o dobro Zakopanego. Powstała obecnie myśl utworzenia filij Ochronki z internatem, a właściwie z przytułkiem nocnym dla tych dzieci, które z powodu odległości mieszkań rodziców, korzystać z Ochronki nie mogą. Naturalnie rzecz ta ma powstać drogą składek. Na posiedzeniu komitetu wybrano na prezesową panią Osiecimską, zastępczynią prezesowej obwołano panią Chramcową — skarbnikiem został p. Stablewski, członkami wydziału pp. Walewska i Rylska. Rozebrano pomiędzy znajdujące się panie cegiełkowe książeczki (po 2 korony cegiełka) i zabrano się do dzieła. Że nocny przytułek stanie, o tem nie ma mowy. Każden z nas rozumie, iż stokroć ważniejszą i świętszą jest sprawa rozpoczynania wpływu na człowieku od dziecka, niż później grożenie mu szubienicami, kratami więziennemi i sądem.

To widma, które nie działają nigdy dostatecznie i nie powstrzymają ani na chwilę zwierzęcia w człowieku, skoro się obudzi. Zgroza i smutek przejmuje na myśl, że ludzie karzą śmiercią, więzieniem — wyniki własnego zaniedbania i lekkomyślnego, a powierzchownego brania istoty rzeczy. Nikt nie chce zajrzeć do głębi, a ponieważ w samym sobie powinien znaleść przykład, że nie życie formuje ludzi, ale dzieci charakter urabiają pierwsze wrażenia, jakie dziecko odbiera.

Zwierzę zbójnickie — Kaina o czarnych żałobnych skrzydłach — obezwładnić może ten wielki, piękny Spokój, ta ciepła Spokojność duchowa, jaka płynie ze źrenic stojących na progu Ochronki Sióstr Felicjanek. Lecz one same nie poradzą nic, niech każden z gości, któren pragnąłby, aby budowa w Zakopanem miała „czystość linij i stylu“, kupi cegiełkę dwukoronową na budowę Przytułku nocnego, dla dzieci ubogich górali zakopiańskich. Wielka to bowiem troska, mieć czyste, jasne dusze w polskim ludzie, i to winno być tą najgłówniejszą obecnie Potrzebą Zakopanego. Gdy zmarznięte, smutne, dzikie dzieci tarzające się w gnoju i brudzie, głodne i ciemne — znajdą sen, strawę i spokój duszy rozwijającej się jak kwiat do słońca,

w przyjaznych warunkach nocnego Schroniska — ci którzy dali drobną cegiełkę dwukoronową, mogą mieć piękną chwilę spełnionego obowiązku. To nie będzie ten cent rzucony obdartemu dziecku, które biegnie z wiązanką gencjan za naszym powozem, lecz to będzie promień słońca, dobra i piękna, wprowadzony przez nasze pośrednictwo w ciemnię, nędzę, w Kainowy świat...

Tam — na progu Ochronki — siostry odziane w ciemne habity, z oczyma pełnymi łagodnego wdzięku i wielkiej wszechludzkiej miłości, czekają.

I otacza je gromada „tych najmniejszych“ — w nowych błękitnych fartuszkach i rączki różowe ku górze wyciągnięte, trzepoczą się jak skrzydła ptaków, chylą się jak łany młodego zboża.

Więc — kupcie cegiełkę...

Gabryela Zapolska.

ECHA ZAKOPIAŃSKIE.

Ciekawe i przysłowiowe jest u nas zrzędzenie na wszystko co „swoje“... Już to my i zagranicą wyróżniamy się często tak naszemi wymaganiami i zapatrywaniami, że przypatrują nam się jako ciekawym okazom, ale u siebie rozrzucamy się bardziej, bo to należy do „dobrego tonu“... Otóż człowiekiem „dobrego tonu“ jest korespondent rannego „Czasu“ z 6 sierpnia. Nawymyślał każdemu, i nieboszczykowi Chałubińskiemu i Warszawiakom i Warszawiankom, wreszcie góralom i góralkom, że nie pozwalają gościom chodzić po łąkach, owsie, kartoflach lub kapuście.

Panie korespondencie, czyś pan był za granicą? czyś pan widział, by ludzie cywilizowani deptali cudzą własność? Dalej ma ten pan ciekawe pretensje, chce żeby naczelnik gminy i komisarz rządowy kontrolowali:

1) Czy góral odwiedza letników zaproszony czy nie zaproszony?

2) Czy każda góralka wydoiła sama swe krowy i zakołysała swoje dziecko?

3) Czy góral pierwszy podał rękę „Panu“ czy też „Pan“ raczył mu ją podać pierwszy?

O biedny komisarzu rządowy, trudna Twoja rola w Zakopanem.

* * *

Najważniejszym wypadkiem dnia jest odsłonięcie pomnika Chałubińskiego. Ponieważ u nas jak to u nas sprawa ta łączy się ze specjalną „polityką“ zakopiańską nie od rzeczy będzie przytoczyć następujące słuszne uwagi koresponde ta „Dziennika Polskiego“:

Piękną to jest niewątpliwie rzeczą, uczcić pomnikiem pamięć człowieka tak zasłużonego dla Tatr i Zakopanego, jak śp. Chałubiński, ale czy duch jego, jeżeli będzie tam obecny, będzie się radował bez zastrzeżeń, to wątpię... Chałubiński pracę swą zasadzał na gorącej miłości i pobłażliwości, a nie na intrygach, zwalczaniu się i awanturach lokalnych. Ciekaw jestem bardzo — a miałem zaszczyt znać śp. zmarłego — coby on powiedział, gdyby żył, na takie „Bagno“ Witkiewicza, pisane na wzór brukowych pism rewolwerowych, czy zbudowałby się babskiemi plotkami, które później dają materjał do owych alarmujących i budzących trwogę o Zakopane korespondencji? W tej wojnie są niewątpliwie obie strony winne — ale ta nagonka plotkarska, urządzona na dra Chramca, której tłem jest najczęściej zawiść, zazdrość i chęć dokuczenia mu osobiście i materjalnie, robi wrażenie bardzo przykre, — oburza wprost czasem. Te wszystkie mniejsze i większe zebrania, na których, pod pozorem troski o rozwój Zakopanego, uchwala się wnioski niemożliwe i rezolucje niewykonalne, tylko dla podtrzymywania wrzenia i niezadowolenia — to także nie ideał śp. Chałubińskiego Idźcie tylko jego śladami — wszyscy!

Nie odrazu Kraków zbudowany — nie odrazu pozbędzie się Zakopane swych stron ujemnych; tem później zaś, im więcej zamiast wspólnie pracować, będzie się szkalować, oczerniać i przeciw sobie intrygować. Na usunięcie braków w Zakopanem nie starczy najmądrzejszych uchwał wiecowych i rad drukowanych cała setka: potrzeba czasu i pieniędzy — i to wiele pieniędzy! Tych pieniędzy nie ma ani gmina, ani już więcej nie podobna ściągać z gości. Nim się więc do inwestycji przystąpi, trzeba mieć pewność, że się będzie miało za co inwestycje tę przeprowadzić i skończyć. Wodzeniem się za czuby, przedstawianiem stosunków w Zakopanem w najczarniejszych kolorach, osiągnie się tylko jedno — że się odstraszy wielu ludzi, którzy w Zakopanem szukają spoczynku, a nie myślą się denerwować sporem rozmaitych klik i kliczek.

Letnia stolica Polski.

Dawno już, dawniej jak przed ćwiercią stulecia... leżała w Tatrach urocza wioska góralska, zaciszna, nieznana, jakby zakopana w górach. Był to starodawny gród Gąsienniców, założony jeszcze w XVII w. Cudownie było w tem ustroniu skalnych Podhalan... W lesistej kotlinie, u stoków gór, tuliła się do siebie garść jasnych, drewnianych chałup i sadyb prostych, a przecież oryginalnych, które budował sobie tubylczy lud. Lud to był silny i zdrowy o smagłych, charakterystycznych rysach twarzy, wyniosłem czole, orlim nosie i kruczych kędziorach. Miał własną swą gwarę, swoje podania i legendy o śpiących rycerzach mnichach, boginkach, indzi-babach, smokach, swoje wierzenia o złotych karocach, djamentowych gniazdach, zaklętych skarbach... Wieść o tem wszystkiem szła w pokolenia, podawana z ust do ust przez ludzi mądrych, bo starych, w rodzaju Sabały. Roznosiły ją także piosenki góralskie, sławiąc też czyny bohaterów-zbójców, jak ta o Janosiku, co to „...bogatych łupi, a biednym dawa“. „Janosik, Janosik, zbójnicki hetmanie... Hej!!“ Kult tych bohaterów zachował się także w tańcu zbójnickim, zawodzonym wkoło przez mężczyzn. Z toporkami w dłoni, kapeluszach na głowie... Lud to był dzielny i wesoły, a melodje swoje snuł przy dźwiękach gęśli i dudów. W zimie szedł w świat na zarobek, albo uprawiał przemysł domowy, w lecie zaś juhasy z bacą na czele pędzili trzody owiec i kóz wysoko w Tatry na hale. Tutaj żyjąc żentycą i serem, przebywali od Zielonych Świątek po Matkę Boską Zielną, wypasali trzody i wyrabiali serki owcze: oszczepki, bruski, parzenice. Tak płynęło w on czas życie w Zakopanem. I tylko zręczny góral lub ścigła kozica chodzili po reglach smerekiem krytych, wspinali się na kopy i wysokie turnie, gdzie limba rośnie, kosodrzewina i zielony mech. Dzik, niedzwiedź i orzeł halny zarówno z człowiekiem uganiały się za zwierzyną.

Mało kto znał jeszcze wtedy tę wieś góralską na Podhalu, lud był jeszcze niezepsuty, drogi były polne, dzikie. Dopiero w drugiej połowie ubiegłego wieku Janota i Nowicki zainteresowali się fauną Tatr, dając wyborne obrazy życia kozicy i świstaka. Potem Eljasz począł wydawać przewodniki, a wreszcie w latach siedemdziesiątych Tytus Chałubiński ogłosił swoje wyprawy po Tatrach, wzbudzając zainteresowanie się Zakopanem w szerokich kołach naszego społeczeństwa. Odtąd płyną doń coraz liczniejsze zastępy miłośników górskiej przyrody, dla których nawet parodniowe trzęsienie się na furce białem płótnem krytej, niemało posiada uroku. Mała wioska tatrzańska rośnie, rośnie nadzwyczaj szybko, aż wreszcie w roku ośmdziesiątym piątym zostaje stacją klimatyczną. Odtąd sława Zakopanego roznosi się po wszystkich ziemiach Polski. Śliczne położenie, wycieczki, które stąd robić można, wreszcie balsamiczne, wonią szpilkowych lasów przesiąknięte powietrze, przeciągają tysiące turystów.



DOLINA STRĄŻYSKA W ZIMIE.

W ten sposób Zakopane stało się tem, czem jest dzisiaj, to jest europejską stacją klimatyczną.

W zimie kiedy przyroda otuli się srebrzysto-białym całunem, kiedy śniegiem pokryte szczyty gór rysują się ostro na firmamencie, jest tutaj prześlicznie... Że zaś i powietrze jest suche, temperatura jednostajna, — blisko tysięczny zastęp chorych zjeżdża na leże zimowe. Liczba ta wzrasta kilkakrotnie w miesiącach letnich, (czerwiec, lipiec, sierpień, wrzesień). Wtedy bowiem wszyscy, których wyczerpie całoroczna praca zawodowa, szukają tutaj wypoczynku. Podkreślam jednak, że nie są to ludzie chorzy (szczególnie zakaźnie), a tylko w znacznej części tacy, którym pobyt wśród murów wielkiego miasta, w dusznem powietrzu, tak się dał we znaki, iż chcieliby odetchnąć pełną piersią, zbliżyć się do przyrody, poznać treść polskich gór. Gdy więc zjeżdżają tu ludzie ze wszystkich krańców świata, w szczególności zaś Polacy z pod trzech zaborów, stało się Zakopane w czasie wakacyjnym ogniskiem, skupiającem kwiat polskiego społeczeństwa, stało się rzeczywiście letnią stolicą Polski, jako nie jest dzisiaj żadne polskie miasto. Na werandzie „Morskiego Oka“ znajdziesz przedstawicieli polskiej sztuki, literatury, dziennikarstwa, nauki, biórokracji, przemysłu, znajdziesz cały polski świat w swoich najróżnorodniejszych typach. Codzień odbywają się tu przeróżne widowiska, rauty, reuniony, koncerty, odczyty, wiece, festyny itd. itd. Wszystko to skupia ogromnie ludzi, kojarzy ich, ułatwia poznanie się, wymianę myśli. Publiczność tutejsza, ten wybór inteligencji polskiej, okazuje żywe zainteresowanie dla wszystkiego, co stoi w związku z sprawą narodową i dla tego następny wiec narodowy mojem zdaniem nie w Krakowie ani Lwowie, ale w Zakopanem odbyć się powinien. W Zakopanem w lipcu lub sierpniu; w tym czasie bowiem i miejscu najłatwiej zebrać się rodakom z pod wszystkich zaborów. A wszystkie zabory powinny być reprezentowane na narodowym wiecu. Powinniśmy wtedy zebrać się tu wszyscy, opowiedzieć sobie nasze troski i nadzieje, wszystko, nawet to, czego niejednokrotnie pisać nie wolno, zastanowić się nad naszem położeniem, porozumieć co do wspólnych celów i dążeń. Bo tylko w ten sposób nadejść może ta chwila, dotąd w śmiałych tylko oglądana marzeniach. Będzie to chwila, kiedy sztandary nasze zdobić będziemy w barwy narodowe, kiedy białe orły na czerwonem polu powieją nad naszemi głowami...



A jeśli nie, nie budźcie nas, pozwólcie śnić nadziei, wierzeń naszych srebrne sny...

△

(Dok. nast.).

KRONIKA.

Koncert. Dnia 7 b. m. odbył się w sali hotelu „Morskie Oko“, koncert znanego naszego skrzypka p. Stanisława Barcewicza, ze współudziałem pana Osińskiego, pianisty. Sława, jaką się cieszy znakomity skrzypek — wytworny program, ściągnęły wielką liczbę słuchaczy.

Szczególnie dobrany program dał możność oceny, jak wielkim artystą jest Barcewicz.

W ślicznej i szalenie trudnej, a z brawurą odegranej „Fantazji z Fausta“ Sarassatego, dał nam artysta poznać, jak świetną posiada technikę, a za-

razem i to, że ją tylko jako środek w wykonywaniu uważa.

W wykonaniu utworów Wieniawskiego jest Barcewicz niezrównany. Tak silnego, szerokiego i śpiewnego a niepokalanie czystego tonu, takiej potęgi uczucia, jakie artysta wykazał w tak znanej, a zawsze ślicznej „Legendzie“ Wieniawskiego, niepodobna prędko usłyszeć.

Oprócz tego grał artysta utwory Bacha — Hubaya — Karłowicza — Sarassatego i innych.

Rozentuzjazmowana publiczność, obdarzyła artystę wieńcem i kwiatami, a długo niemilknącymi oklaskami zmuszała kilkakrotnie do bisowania.

P. Osiński z wielkiem zrozumieniem i uczuciem odegrał utwory Schumanna i Griega, a świetnym akompaniamentem, wielce przyczynił się do uświetnienia tak sympatycznego koncertu.

Tombola na Schronisko Nauczycielek w Zakopanem, która się odbyła 19 lipca przyniosła dochodu brutto 1130 kor. 75 h., wydatki na zakupno fantów (krówka, cielę, dwa barany, 400 fantów: w Spółce, u pp. Tomaszewskiego, Bèze, Mangla, Gurgula etc.), opłata muzyki, pomoc tapicerów, stolarzy etc. etc. wyniosły 388 kor. 90 hal. czyli netto złożone w kasie Zaliczkowej wynosi 741 kor. 85 hal.

Jako remanent pozostały 3 sztuki perkali, wartości około 40 koron i urządzenie koła szczęścia wartości około 20 koron.

Niniejszym składamy podziękowanie dr. Chramcowi za łaskawe użyczenie parku i ofiarowane lody do bufetu, wszystkim Paniom i Panom pomagającym w urządzeniu i w czasie tomboli, wreszcie panu Komisarzowi za ułatwienia przy urządzaniu tomboli i ogłaszaniu takowej.

Za wydział: ex vice-prezes

A. Wernitz.

Program wycieczki sokolej okręgu krakowskiego w Zakopanem 15 i 16 sierpnia.

Sobota dnia 1-go sierpnia.

I) 8-ma rano. Zbiórka wszystkich Sokołów na boisku sokolem. Wspólny, uroczysty pochód ulicą Jagiellońską, Przecznicą, i Krupówkami do kościoła parafialnego.

II) 9-ta rano. Nabożeństwo w kościele parafialnym.

III) 3-cia popołudniu. Ćwiczenia na boisku. (Ćwiczenia maczugami, lancami itd.).

IV) 8-ma wieczór. Wieczornica w Morskiem Oku, na którą złożą się produkcye amatorów, a następnie tańce.

Niedziela dnia 16 sierpnia.

Wspólne wycieczki grupami do Morskiego Oka, do doliny Kościeliskiej, na Giewont itd.

W piątek 14 sierpnia odbyło się w kościele parafialnym w Zakopanem o godz. wpół do 10-tej rano uroczyste nabożeństwo za spokój duszy ś. p. dra Tytusa Chałubińskiego. Górale i goście zebrali się bardzo licznie, czcząc w ten sposób pamięć szlachetnego obywatela i dobroczyńcy naszej uroczej miejscowości.

Uroczyste odsłonięcie pomnika dra Tytusa Chałubińskiego odbyło się w sobotę 15 sierpnia o godz. wpół do 1-szej. Bliższe szczegóły tej pięknej uroczystości podamy w następnym numerze.

Stowarzyszenie kształcącej się młodzieży polskiej (Bratnia pomoc) w Zakopanem. „Dom zdrowia“ Bratniej pomocy jest położony przy ulicy Chramcówki l. 1, dzieli się na budynek główny i dwa mniejsze.

Ze wszystkich zakładów, ze wszystkich stowarzyszeń młodzieży polskiej, żadne nie daje tyle pomocy i opieki, ile daje stowarzyszenie Bratniej pomocy w Zakopanem.

Dotychczas sanatorya nie były dostępne młodzieży niezamożnej a chcącej się leczyć, lub odpocząć po przebytej słabości. Dziś dzięki członkom wspierającym zakład „domu zdrowia“ przeobraża się w sanatoryum lecznicze, nietylko przyjmujące młodzież po jak najniższej cenie, lecz nadto udzielające jej pomocy po wyjściu z zakładu, o ile jej potrzebują.

Dotychczas założycieli jest 42, którzy opłacają 200 koron jednorazowo, 109 wspierających, którzy opłacają 20 koron rocznie, a zwyczajnych 190, opłacających 2 korony rocznie.

Przewodniczącym zakładu jest dr. Żychoń — sekretarzem i gospodarzem p. Litwinowicz, lekarzem zakładowym dr. Żenczykowski.

Obecnie pensjonarjuszy jest 18, a tych obowiązuje wypełnianie regulaminu. Pensjonarjusze obowiązani są siadać do wspólnego stołu w oznaczonych godzinach. — Śniadanie od 8—10 — śniadanie drugie o 11-ej, obiad o 1-ej, podwieczorek 4—5 po południu, kolacja o 7-ej wieczorem. Jedzenie jedynie może być podawane do pokoju pensjonarza, na zlecenie lekarza. Spóźniania nie są uwzględnione.

Od godziny 10-ej rano spędzają pensjonarze czas na werandzie, każdy na swoim leżaku — skąd wstaje do drugiego śniadania, do obiadu i do podwieczorku to jest do godziny 4-ej po południu.

Obowiązkowo spoczywać mają 6 godzin — przez dzień i po kolacyi 2 godziny, to jest od g. 7-ej wieczorem do 9-ej.

O godzinie 10-ej ma panować spokój, a każdy pensjonarjusz ma znajdować się w swym łóżku i światło ma być zgaszone.

Z tego trybu życia, pensjonarjusze nie mogą się wyłamywać; po dwukrotnem bezskutecznem napomnieniu pensjonarjusz zostaje wydalony. Nad porządkiem wewnętrznym czuwa gospodarz.

Na przyszłość możemy się spodziewać nowego gmachu obszerniejszego, by z przybywającymi członkami wspierającymi i więcej pensjonarjuszy pomieścić się mogło.

HOTEL BABILON

PRZEZ ARNOLDA BENETT'A.

(Ciąg dalszy).

— Byłem tego pewny — rzekł Levi. — Nie zamyślam robić starań o koncesyę na koleje amerykańskie i mam nądzieję, że nie będziemy sobie wchodzili w drogę. Dowidzenia.

— Żegnam pana mówił Racksole, odprowadzając uprzejmie gościa do drzwi. Z ręką na klamce bankier zatrzymał się, i utkwiwszy badawczy wzrok w Amerykanina, szepnął:

— Dzieją się tu osobliwe wypadki od jakiegoś czasu.

Przez parę sekund dwaj mężczyźni patrzyli sobie prosto w oczy.

— Tak jest — przytwierdził Racksole. — Wiesz pan co o tych zajściach?

— Trochę, niewiele... odparł Levi — przypuszczam jednak, że moglibyśmy sobie wzajemnie być pomocą.. Mam myśl jedną...

— Wróć się pan i siadaj, proszę — nalegał milioner, zaintrygowany słowami bankiera. — Wytłómacz, w jaki sposób moglibyśmy jeden drugiemu przychodzić z pomocą? Pochlebiam sobie, że jestem dobrym sędzią charakterów ludzkich, zwłaszcza charakteru finansistów. Otóż gotów byłbym grać z panem w odkryte karty.

— Zgoda! — przytwierdził Levi. — Zacznę od wyjaśnienia panu pobudek mego zainteresowania się sprawami pańskiego hotelu. Oczekiwałem wezwania i widzenia się tutaj z księciem Eugeniuszem von Rüdesheim, a to wezwanie nie nadeszło dotychczas. Zdaje się, że książę nie zjawił się do tej chwili w Londynie. Byłbym jednak trzymał zakład, że przybędzie najpóźniej w dniu wczorajszym.

— Dlaczego byłeś pan tego pewny.

— Odpowiem drugiem zapytaniem: dlaczego panie Racksole, kupiłeś hotel? Stanowiło to zagadkę niepojętą nawet dla bawiących w stolicy współziomków pana. W jakim celu kupiłeś hotel Babilon i co za nową w dalszym ciągu obmyślasz niespodziankę?

— Żadnej nowej nie obmyślam niespodzianki — mówił Racksole. — Wyznam szczerze, co mnie skłoniło do kupna hotelu: poprostu chwilown fantazja.

To rzekłszy, milioner opowiedział budzącemu jego zaufanie bankierowi szczegóły dokonanej tranzakcyi.

— Gotów pan przypuszczać — dodał Amerykanin — że przystępując do tego interesu, nie byłem przy zdrowych zmysłach.

— Bynajmniej — odparł Levi. — Raz z podobnych pobudek kupiłem statek, poruszany elektrycznością na Tamizie i pokazało się, że zrobiłem świetny interes. Zatem jedynie wskutek przypadkowego zrządzenia zostałeś pan właścicielem hotelu.

— Tak jest; wskutek zażądanych przez moją córkę befsztyku i butelki piwa.

— Hm! hm! — dziwił się Samson Levi, gładząc tłusty potrójny podbródek.

— Wracając do księcia Eugeniusza — mówił dalej Racksole — oczekiwałem także jego przybycia; przygotowano dla niego pokoje dworskie. Miał przyjechać po południu dnia tego, w którym zmarł nagle Dimmock, ale nie zjawił się jeszcze i niewiem, co opóźnia jego przyjazd; nie wspominają o tem w gazetach. Nie wiadomo mi również, w jakim celu chciał przybyć do Londynu.

— Ja to panu powiedzieć mogę — oświadczył bankier. — Miał zaciągnąć pożyczkę.

— Na pokrycie długu państwa?

— Nie; pożyczkę prywatną.

— Od kogo?

— Odemnie, Samsona Levi. Dziwi to pana, jak widzę. Gdy pobędziesz dłużej w Londynie, zrozumiesz, że jestem osobistością, poszukiwaną przez książąt. W mojej dzielnicy zowią mnie bankierem dworskim, gdyż dostarczam pieniędzy mniej zamożnym książętom europejskim. Otóż panujący książę von Rüdesheim potrzebował na termin milion funtów szterlingów i wiedział, że należy wcześniej poczynić starania, iżby otrzymać na czas pożyczkę. Wskutek tego dziwię się, że niema go jeszcze w Londynie.

— Na co mu milion funtów potrzebny?

— Na spłacenie długów.

— Długów osobistych?

— Niewątpliwie.

— Wszakże niema jeszcze lat trzydziestu?

— Cóż to znaczy! Nie on jeden pośród książąt europejskich zdążył zrobić w ciągu jednej dziesiątki lat milion funtów szt-rlingów długów. To nie trudniej, jak p łknąć ostrygę.

— Skąd mu przyszła nagle ochota przeprowadzenia likwidacji?

— Bo cesarz, oraz rodzice panny postawili mu ten warunek: i słusznie. Musi uregulować interesy, inaczej księżniczka Anna v. Eckstein-Schwartzburg nie będzie księżną von Rüdesheim. Cesarz nie domyśla się nawet wysokiej cyfry długów księcia Eugeniusza. Gdyby przypuszczał...

— Czyż cesarz nie dowie się o mającej być zaciągniętej pożyczce?

— Tak cicho załatwić to można, że na razie nic wiedzieć nie będzie. Ho! ho! — zaśmiał się bankier — nieraz już urządzałem podobne sztu-

czki. Po ślubie tajemnica odkrytą zostanie; księżniczka ma znaczny bardzo majątek. A teraz — dodał Levi, zmieniając nagle ton mowy — czem tłómaczyć nagłe zniknięcie księcia Eugeniusza, panie Racksole? Jeśli przed wieczorem nie przybędzie, nie otrzyma żądanej miliona funtów pożyczki. Dziś ostateczny termin; jutro zebrane pieniądze otrzymają inne przeznaczenie. Rozumie się że w interesie nie jeden biorę udział; moi koledzy mają również prawo głosu w tej sprawie.

— Pytasz pan, czem tłómaczyć zniknięcie księcia Eugeniusza?

— Tak jest.

— Więc poczytujesz to za zniknięcie?

— Rzecz jasna, jak dwa a dwa cztery — dowodził bankier. — Niemniej zagadkową jest śmierć Dimmocka. On był krewnym z lewej ręki książąt Rüdesheimów. Fakt mało komu wiadomy. Mianowano go umyślnie sekretarzem i towarzyszem księcia Ariberta, iżby zadowolić się musiał tem podrzędnem stanowiskiem. Jego matka była Irlandką, zgubiła ją niezwykła uroda. W przekonaniu mojem śmierć Dimmocka jest w związku z nagłem zniknięciem księcia Eugeniusza. Pytam tylko: kto miał interes w usunięciu księcia z widowni świata? Biedny książę nie mógł posiadać nieprzyjaciół. Jeśli został uprowadzony, podstęp taki nikomu nie przyniesie korzyści.

— Czy istotnie nikt na tem nie zyska? — zagadnął Racksole, jakby nagle kombinując coś w myśli.

— Co pan chcesz przez to powiedzieć? — dowiadywał się bankier.

— Przypuściwszy, że inny jaki zubożały europejski książę zapragnął poślubić księżniczkę Annę i ułakomił się na jej posag, czyż ów książę w takim razie nie zechciałby przeszkodzić udzieleniu przez pana księciu Eugeniuszowi pożyczki? Czy zniknięcie choćby na czas pewien, księcia, nie byłoby dla tamtego korzystnem?

Samson Lewi rozmyślał dłuższą chwilę.

— Panie Racksole — rzekł w końcu — sądzę, żeś trafił na ślad właściwy.

XII.

Rocco i pokój pod numerem 111.

Po południu dnia, w którym bankier odwiedził milionera w godzinach rannych Racksolowi inna myśl zaświtała w głowie i dziwił się, że nie nasunęła mu się wcześniej. Rozmowa z Samsonem Levi trwała długo; obaj mężczyźni tworzyli różne wnioski, przypuszczenia i oznaczyli termin drugiego z sobą spotkania. Fakt, że Dimmock prawdopodobnie zdradził krewnych swoich i że pożałowawszy tej zdrady, skruchę swoją przypłacił śmiercią, nie był dostatecznie przez nich komentowany; śledząc arkana współczesnej polityki, usiłowali dojść jedynie, który z panujących książąt mógł upatrywać korzyść swoją w chwilowem choćby zniknięciu księcia Eugeniusza. Zastanowiwszy się po odejściu bankiera nad szczegółami nagłej śmiarci Dimmocka, Racksole przypomniał sobie towarzyszące jej okoliczności i stawił w myśli pytanie: czemu owej pamiętnej nocy Dimmock i Julian postarali się usunąć Nellą z pokoju pod numerem 111? Milioner pewnym był teraz, że szyba nie wskutek prostego wypadku została stłuczoną; zrozumiał, że coś ważnego ukrywać się musi w owym pokoju. Po śniadaniu Amerykanin poszedł na górę i przypatrywał się uważnie zewnętrznej stronie numeru 111, numer ten bowiem był zajęty i gość miał dopiero odjechać wieczorem. Racksole wiedział dobrze, że takie badanie powierzchowne do niczego nie doprowadzi, mimo to rozglądał się uważnie. Schodząc na niższe piętro, przystanął w korytarzu i szepnął półgłosem:

— Na Jowisza! nie tracę bezowocnie czasu; dowiedziałem się czegoś: wprost pod numerem 111 są pokoje dworskie!

Podążył następnie do kantoru i tam zalecił, aby numer 111 aż do dalszego rozporządzenia nie był odnajęty nikomu. W kantorze oddano mu kartę pocztową Nelli, na której stało:

„Najdroższy papo!

Dochodzę kłębka po nitce i odjeżdżam na dwadzieścia cztery lub czterdzieści ośm godzin. Jeśli po trzech dniach nie powrócę, dowiaduj się o mnie w Ostendzie; do owej chwili pozostaw sobie samej

Twoją przezorną córkę
Nellę.“

Ruch pociągów zakopiańskich.

Odchodzą z Krakowa do Zakopanego:	o 10 min. 25 rano o 11 min. 40 wieczór.
Przychodzą do Zakopanego:	o 7 min. 5 rano. o 4 min. 5 po poł.
Odchodzą z Zakopanego do Krakowa:	o 9 min. 20 rano o 4 min. 35 po poł.
Przychodzą do Krakowa:	o 2 min. 36 po poł. o 11 min. 5 wieczór.
Odchodzą z Zakopanego do Lwowa przez N. Sącz i Tarnów:	o 9 min. 20 rano.
Przych. do Lwowa:	o 2 min. 31 po poł.

Spostrzeżenia meteorologiczne.

	6/8	7/8	8/8	9/8	10/8	11/8	12/8
Termom. such.	15·2	14·7	15·6	20·0	23·2	17·2	19·6
„ wilg.	13·6	12·5	13·0	16·4	20·4	15·2	17·8
Ozon	7	9	10	6	7	8	6
Term. maxim.	27·9	28·2	31·2	35·2	37·4	37·8	36·8
„ minim.	13·8	9·2	8·2	7·1	9·8	14·0	9·1
Term. na bar. .	19·1	18·8	18·5	21·4	23·8	20·3	21·3
Barometr . . .	698·0	698·0	699·1	698·4	695·1	698·8	698·7
Kierun. i szyb. wiatru . . .	WWN8	NNW4	NNW4	EES 1	WWS3	NNE2	EE 2
Stop. zachmurz.	4 kłęb.	7 kłęb.	2 kłęb.	1 kłęb.	0 kłęb.	4 kłęb.	1 kłęb.
Wysok. opadu	0	0	0	0	0	0	0
Uwagi	pogod.	pogod.	pogod.	pogod.	pogod.	pogod.	pogod.

Właścicielka i wydawczyni: Józefa Rogoszowa. Redaktor odpowiedzialny: Adolf Nowak.
Druk W. Korneckiego w Krakowie.